

**Paweł Tański**



**BRAMA**



**Paweł Tański**

# **Brama**



**Fundacja FESTINA LENTE**

**Mecenasem tego wydania jest**



Napisać chciałem opowiadanie... jakąś opowieść... historię pewnego człowieka...

Jednak, jako żem poeta, zacząłem „zagęszczać, zagęszczać”, wykreślać, kreślić, i oto, co się ostało!

Posłuchajcie zatem, Mili Moi, historii o pewnym człowieku, człowieku zacnym i poczciwym; opowiedzianej przez poetę historii o czasie i przestrzeni.

Był wietrzny poranek. Zimowy, smutny, przygnębiający. Już zaczynało robić się jasno. Psy spały w swoich ciepłych legowiskach, w przytulnych budach. Ludzie też - były przecież święta. Już niedługo w oknach widać będzie rozświetlone choinki, kobiety wstawiać będą wodę na herbatę, mężczyźni ostrzyć brzytwy do porannego golenia. Ej, święta, święta!!!

Paskudnie było na zewnątrz - trzeba to przyznać. Co to za święta bez śniegu! Jeszcze w dodatku - w nocy trochę pokropiło. Psy patrzyły ze środka swoich ciepłych domków na świat

i było im piekielnie smutno. I żał im jakoś było. Swoich Panów, którzy musieli czyścić buty teraz częściej, a i tak to niewiele dawało. Błoto, maź, paskudny brud. Lepko, wilgotno. Brrr! Obrzydliwie i okropnie!!!

Żał było tym psom, zamyślonym nad losem ludzkim i psim, swoich Pań, które ze zwieszonymi nosami wstawiały wodę na herbatę i kroiły chleb. Chleb - powiedzmy to sobie szczerze - też był jakiś smutny, rozżalony, ba! rozgniewany nie wiadomo na co! Na siebie, na psy, na ludzi, na świat cały?!

Brzytwy nie goliły tak, jak zwykle w święta. Nawet tak, jak w dzień powszedni nie goliły! Markotne były, złośliwe, leniwe, śpiące. Podrażnione jakieś takie.

Wietrzny poranek zapowiadał się więc mało optymistycznie. A tu gdzieś jeszcze jakiś pies wychylił łeb z budy i zaczął przeraźliwie wyć.

Ludziom dziwny dreszcz przebiegł po krzyżach, komuś wypadł nóż z ręki, jeszcze ktoś wypuścił kromkę chleba na podłogę, jakieś zamieszanie się zrobiło, ciemno, ciemno, błysk, znów ciemno, pogasły latarnie, coś dziwnego przebiegło po podłodze, szuru - buru, krzyk starej ciotki, brzęk talerzy, coś rozbiło duży, ulubiony wazon ciotki, jakiś garnek spadł pod nogi stryja,

ten zaklął, przewrócił się, Jasiek wylał na niego gorącą wodę, cytryna wypadła matce z rąk, przeleciała przez całą kuchnię, uderzyła w szybę. W tej samej chwili gdzie indziej ktoś się golił, zaciął się, brzytwa wypadła mu z rąk, też coś dziwnego przebiegło pod nogami, też szuru - buru, krzyk córki w pokoju. Znow błysk, potem drugi. I znowu jasno.

Oj, makabryczny widok: ciotka zapłakana, na podłodze rozbite talerze, resztki wazonu, garnek, stryj poparzony leży gdzieś w kącie, przy kaloryferze, Jasiek obok - z ukrytą w dłoniach gębą, cytryna pod oknem. A gdzie kromka chleba???

Gdzie indziej - mężczyzna pochylony, z zakrwawioną paskudnie twarzą szukał brzytwy po dziadku. Córka krzyczała wniebogłosy obok w pokoju. I rzecz dziwna - brzytwa przepadła jak kamień w wodę!

Ten wietrzny, ponury i bardzo dziwny przedświt nie był wietrzny, ponurym i bardzo dziwnym przedświtem tylko dla domu stojącego na uboczu. Zresztą - kto go tam wie, czy stał on na uboczu. Był usytuowany jakby na tej samej ulicy, a miało się wrażenie, że raczej na ulicy sąsiedniej. A kiedy patrzyło się z tamtej strony - to rzecz jasna - stał on na **tej** ulicy! Otoczony wielkim murem, zarosły drzewami, w głębi stał

ten przeogromny dom. A zresztą - czy był on aż tak wielki? Raz miało się wrażenie, że jest rzeczywiście potężny, ale kiedy otwierało się Bramę i stąd patrzyło się na dom - wydawał się zwyczajnym, normalnej wielkości domem. Wszystkie tutaj takie były.

To samo z otoczeniem. Jesienią, w nocy, strach było zapuszczać się w tę przestrzeń. Wielkie, ponure drzewa, z tyłu - zapuszczony ogród. Ale wiosną, a jeszcze lepiej latem, jasną, pełną słońca i radości była ta przestrzeń - drzewa nie wydawały się aż tak ogromne, a ogród był zadbany i wcale nie zapuszczony. Znać było tu porządek i wielką troskliwość gospodarza. Ogród stawał się Rajem.

Właścicielem tej posesji był stary zegarmistrz, człowiek zacny i poczciwy. Spał on teraz smacznie, radosny, wesoło pomrukując przez sen. O ile za murem posesji był wietrzny poranek - zimny, smutny i przygnębiający, i już zaczynało świtać, o tyle po tej stronie muru, przy domu, poranek był wcale sympatyczny. Ale zaraz, zaraz - czy był to poranek? Wszak wcale nie świtało - wszystko spało pogrążone w ciemności. Jakoś cieplej tu było, radośniej. Mgła, której za murem nie było widać, otaczała drzewa, ogród, dom, tak, że wydawało się, że to gruby śnieg pokrywa wszystko. Na pewno zaś temperatura w tej

przestrzeni była o wiele niższa od tej przy ulicy L.

Zegarmistrz, jak co roku o tej porze, śnił przepiękny sen.

Śniło mu się, że jest zima. Straszny mróz, grube warstwy śniegu pokrywały świat. Święta!! Widział kobiety w przytulnych kuchniach, radośnie nucące pod nosem kolędy, krojące ciepły, wesoły chleb na śniadanie. Ich mężowie golili się ostrymi brzytwami, myśląc o przyjemnym poranku i smacznym śniadaniu.

Psy machały do siebie ogonami, wystawiając nosy z bud. I chociaż było piekielnie zimno i śnieg pokrywał świat cały, tak, że nic nie było widać, psy czekały do drzew, do nieba, do domów, do śniegu, do ludzi, do siebie, do chlebów i brzytw.

Owszem, był wietrzny poranek. Zimowy, mroźny, ale radosny i dający nadzieję. Już zaczynało robić się jasno.

Zegarmistrz także się ogolił. Popatrzył z satysfakcją na swoją twarz. Wiele lat już żył na świecie, wiele przeżył i wiele widział, a jakby starzał się nadzwyczaj powoli. Może dlatego, że od samego dzieciństwa wyglądał młodziej od swoich rówieśników. Mając lat trzydzieści, wyglądał na dwadzieścia. Gdy mu stuknęła sześćdziesiątka, dawano mu lat czterdzieści. Po osiemdziesiątce - wyglądał na lat pięćdziesiąt.

W tym roku miała mu wybić równo setka, a czuł się młodziej niż lat temu pięćdziesiąt. Wyglądał zaś na sześćdziesiąt trzy.

Zresztą, tak prawdę mówiąc, kto go tam wiedział. Może miał już i dwieście lat, albo i więcej, ale wstydził się do tego przyznać. Wielu spraw wolał nie pamiętać. Cóż to jest przeszłość??? Więc zegarmistrz się ogolił. Potem skropił twarz tak, by ładnie pachnieć, dorzucił do pieca drzewa, zagwizdał na psa.

Wyszli przed dom. Powitała ich radość poranka. Zegarmistrz przywitał z szacunkiem stare drzewa, pokłonił się jabłoniom, rozejrzał uważnie wokół.

Szedł długo przez ten od lat zamieszkanym przez niego obszar. Trwało to całą wieczność. Pies również był skoncentrowany, poważny, pełen dostojeństwa.

Przez chwilę wydawać by się mogło, że drzewa z szacunkiem kłaniają się człowiekowi i psu, i nawet śnieg jakby sam się rozstępował, tworząc drogę. Jak przez mgłę widać było Zegarmistrza i jego wiernego towarzysza życia: jakby miał koronę na głowie i gruby, czerwony płaszcz, w jednym ręku berło, w drugim - jabłko, a przy boku - miecz. Ten miecz zwłaszcza zwracał uwagę. Błyszczał olśniewająco! Sierść psa także jakoś dziwnie błyszczała. Wydawał się



on ogromny, majestatyczny. Z dumą patrzył w oczy swego Króla.

Potężny Władca Czasu doszedł wreszcie do Bramy. I wtedy mgła jeszcze bardziej zamazała obraz. Zaczął silniej wiać wiatr, śnieg zasypał drogę, zaczął wielkimi płatami pokrywać świat. Przez dłuższą chwilę widać było jedynie biel. Słychać było przekręcający się w starym zamku klucz, skrzypienie Bramy, potem szum wiatru, gwizd gałęzi, krzyk kruka. Bramę zatrzaśnięto.

Wzdłuż muru szedł starszy pan. Miał na głowie staromodny kapelusz i był elegancko ubrany. Długi, czarny płaszcz do kolan, wspaniałe buty. Mądre, brązowe oczy obserwowały ulicę L. I jeszcze ważny element jego wyglądu: ciemna, długa broda. Obok biegł pies - wilczur, zdaje się, że z daleka sprawiał wrażenie, iż jego sierść jest jasnobrązowa.

W oknach widać było choinki. Mroźno było, śnieg padał i padał... Psy, zobaczywszy na wolności, za płotem, psa, zaczęły szczekać. Powybiegały ze swoich legowisk i ujadły głośno i radośnie, szczęśliwe, że mogą wreszcie trochę popisać się swoimi głosami. Machały jak szalone ogonami, biegały i skakały. I starszy pan wiedział, że teraz w domach szykuje się śniadania. Kobiety wstawiają wodę na herbatę, kroją święty chleb, a mężczyźni ostrzą brzytwy... I starszy pan szedł wolno, wolniutko,

uśmiechając się szeroko do tych kobiet, mężczyzn, do chlebów i brzytew, do psów, drzew i płatków śniegu.

Tak, uśmiech jego sprawiał, że ten szczęśliwy, pełen wesela okres Świąt, przedłużał się i czas płynął trzy razy wolniej niż zwykle. I kobiety mówiły: patrzcie, już zrobiłam herbatę, pokroiłam chleb, wszystko, co ma być, już na stole, i wszyscy przyszykowani, a tak powoli robi się jasno, i normalnie chyba bym to wszystko o wiele dłużej robiła. Jak ten czas wolno dziś płynie! Ze trzy razy wolniej niż zwykle!

I starszy pan szedł, i nucił bardzo starą Pieśń o Czasie, a pies, pełen dumy i powagi rozglądał się wokoło...

Tak, tak. Zegarmistrz śnił przepiękny sen. Co roku niby ten sam, ale za każdym razem inny. I gdy się przebudził, zjadł śniadanie, wykapał się, ogolił, popatrzył na swoją twarz, skropił ją tak, by pachnieć ładnie. Dorzucił do pieca drzewa, ubrał buty, płaszcz i staromodny kapelusz. Zagwizdał na psa. Popatrzył na leżącą na biurku, pełnym starych zegarków, nie wiadomo skąd, przez kogo i po co przyniesioną, kromkę chleba i brzytwę, uśmiechnął się i rzekł: „A na co mi to”?

I w tej samej chwili jakiś pies wychylił łeb z budy i zaczął przeraźliwie wyć. Oczywiście w przestrzeni posesji tego nie było słyhać, ale na

ulicy L. - jakoś głos niósł dobrze. Ludziom dreszcz dziwny przebiegł po krzyżach, komuś wypadł nóż z ręki, jakieś zamieszanie się zrobiło, ciemno, błysk, znów ciemno, pogasły latarnie, coś dziwnego przebiegło po podłodze, szuru - buru, krzyk starej ciotki: „Znowu??!”, brzęk talerzy...

W tej samej chwili gdzie indziej pochylony nad podłogą, z paskudnie zakrwawioną twarzą, człowiek znalazł zgubioną przed chwilą brzytwę. Leżała przecież w zasięgu ręki. „Diabeł nakrył ogonem, czy co?” - mruknął mężczyzna. Stara ciotka, rzecz jasna, parę domów dalej, znalazła dziwnym trafem u siebie w kieszeni fartucha kromkę chleba. Zrobiła bardzo zdziwioną minę.

Latarnie znów zapłonęły. Chwilę potem znów zgasły. Ciemno było, a przed chwilą przecież już zaczynało świtać! Zaczął padać śnieg. I padał, padał, padał... Zegarmistrz z psem wyszli przed dom.

I powitała ich radość poranka...

(Wychowałem się na ulicy L. Przez wiele, wiele lat, codziennie widywałem starszego pana z psem. Obserwował, jak biegaliśmy po parku, częstował nas cukierkami, których smaku nigdy

nie zapomnę. Łagodnie uśmiechnięty, pozwalał nam głaskać swojego wilczura. Patrzył, jak rośniemy, z każdą chwilą zmierzając ku wieczności, sam nietknięty przez czas, przez przemijanie. Zabierał nas do swojego ogrodu, który wydawał nam się nieskończonym obszarem, pełnym magii i cudowności, zrywaliśmy jabłka i czuliśmy, że jesteśmy w raju.

Kiedy dorosłem, postanowiłem zostać zegarmistrzem. Czasem starszy pan pozwalał mi obserwować, jak naprawia zegarki. Było to niezwykle.

Potem wyjechałem daleko, bardzo daleko. Moi rodzice zmarli, więc w kilka dni po pogrzebie wsiadłem w pociąg do stolicy, później w samolot, potem płynąłem statkiem, i znów wiele czasu spędziłem w pociągu...

Nie odwiedzałem miasteczka, w którym się wychowałem. Nawet nie bywałem w starym kraju. Dopiero całkiem niedawno postanowiłem, że koniecznie muszę tam pojechać. Zbliżały się moje osiemdziesiąte urodziny, miałem jeszcze trochę siły... Być może, odkładałem po trochu przez całe życie, po to, by przed Wezwaniem spotkać się z zegarmistrzem. Nie wątpiłem bowiem, że żyje i ma się dobrze.

Podróż trwała długo...

Gdy stanąłem przed Bramą, wiedziałem, że starszy pan - tak go wciąż nazywałem - oczekuje

mnie. I w rzeczy samej - gdy nacisnąłem kłamek, stara Brama jakby sama się otwarła, gęsta mgła otaczała ogród. Gdy przeszedłem kilka kroków, usłyszałem, jak Brama delikatnie i powoli zamyka się za mną. Słyszałem też przekręcający się klucz w zamku, szum wiatru, gwizd gałęzi, krzyk kruka. Pokłoniłem się drzewom. Szedłem długo, bardzo długo, przez ten od lat zamieszkały przez Zegarmistrza obszar. Stał przed domem i uśmiechał się ciepło... Towarzyszył mu oczywiście nieodłączny przyjaciel, którego sierść pięknie błyszczała w sierpniowym słońcu. Wydawało mi się, że Zegarmistrz odmłodził. A może to ja tak się zestarzałem...

Spacerowaliśmy długo po ogrodzie, a później poszliśmy ulicą L. w górę, do parku. Częstowaliśmy dzieci cukierkami i jabłkami. Już wiedziałem... Powoli się szykowałem...

I pewnego dnia Zegarmistrz długo mnie prowadził przez ogrody, polany, biel i mgłę. Wskazał mi ścieżkę pośród jabłoni, uściskaliśmy się mocno i ruszyłem ku Szczęśliwości. Tam, skąd pochodził mój przyjaciel, starszy pan, który patrzył teraz, jak idę pełen powagi i radości...).

*26 grudnia 1997 roku*

Paweł Tański  
*Brama*

Redakcja: *Hanna Milewska*  
Projekt okładki: *Studio Ożywiania Książki KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by Fundacja Festina Lente

Warszawa 2013

ISBN 978-83-63867-8

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINALENTE  
[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)